

Zdzisław Molenda

TYLEM ZAPAMIĘTAŁ

Poznań 2007 r.

Obóz w Zittau

Bylem przekonany, że po przeżytych piekle w Domu Żołnierza w Poznaniu i obozach w Żabikowie, Gross Rosen i Hartmannsdorf, nic gorszego mnie może już spotkać. To co ujrzałem, po przybyciu w dniu 19 marca 1945 r. do obozu w Zittau, przechodziło wszelkie ludzkie wyobrażenia. Było to prawdziwe dno piekła na ziemi. W obozie przebywali Żydzi, pochodzący przeważnie z Węgier. Sami esesmani mówili o obozie Vernichtungslager (obóz wyniszczenia). Więźniowie byli zatrudnieni przy produkcji samolotów bojowych. Były to trzysilnikowe samoloty typu Junkers 52, wykorzystywane przez Niemców do celów transportowych. Produkcja zlokalizowana była w ogromnym hangarze, w którym podczas I-szej wojny światowej stacjonowały sterowce balonowe typu Zeppelin. Obóz mieścił się w jednym z fabrycznych gmachów i podzielony był na część męską i żeńską. Żydówki zajmowały się kuchnią, obsługującą więźniów oraz esesmanów. Dzielne racje żywnościowe składały się z 100 gramów chleba (słownie: stu) oraz litra przegotowanej wody, w której pływały obierki ziemniaczane, pochodzące z kuchni esesmańskiej. Zatrudnione w kuchni Żydówki, utrzymywały niezłą kondycję fizyczną i było oczywiste, że uzyskiwały to przez okradanie swoich męskich pobratymców. Dowiedzieliśmy się później, że poza przygotowywaniem posiłków, świadczyły także usługi seksualne dla członków załogi esesmańskiej.

Zastaliśmy w obozie straszliwe warunki. Praca w zakładach ustala. Wy-chudzeni Żydzi, nie mogli się poruszać o własnych siłach, zalegając cele o cementowych posadzkach, pokrytych garstkami wełny drzewnej, przesiąkniętej kałem i moczem. W obozie grasowały: czerwotka, gruźlica, flegmona, szkorbut a nawet tyfus. Cały obóz był jak gdyby ogromnym rewirem a raczej umieralnią. Dr Kulig zabrał się natychmiast z całą energią do ulżenia chorym w ich straszliwej doli. Wspieraliśmy go z Władkiem na ile pozwalały nasze wątłe siły. Pomagaliśmy przy opatrunkach, rozdzielaliśmy chorym na szkorbut miksturę, którą dr Zygmunt przygotowywał z wywaru pokrzyw. W pierwszym okresie pobytu w obozie ratowaliśmy się przed głodową śmiercią, zapasami sucharów, które przezornie przygotowaliśmy w obozie Hart-mannsdorf.

Esesmani widząc naszą "kondycję" zmuszali nas do wynoszenia zmarłych więźniów na plac apelowy, gdzie grupa więźniów paliła zwłoki, oblewając je jakimiś palnymi smarami i okładając drewnem. Do nas należało zdejmowanie zmarłym odzienia, wypisywanie na piersiach i lewym przedramieniu numeru obozowego oraz oddawanie blaszek, tzw. nieśmiertelników, kapie obozowemu, którym był słowacki Żyd.

Zaloga esesmańska składała się, poza Niemcami, z Ukraińców i Litwinów. Jeden z nich – Litwin, prześladował mnie na każdym kroku, bijąc po głowie i plecach grubym gumowym kablem, uzbrojonym stalową wkładką. Któregoś dnia odbezpieczył pistolet i zamierzał mnie po prostu zastrzelić. Przechodzący przypadkowo niemiecki esesman wstrzymał go następującymi słowami:

- nie strzelaj - szkoda pocisku – on zdechnie tak czy owak w najbliższych dniach !

O Litwinie wspomnę jeszcze w dalszej części wspomnień.

W obozie przebywał duchowy ideolog i uznany powszechnie prorok niemieckich Badaczy Pisma Świętego. Był traktowany jak honorowy więzień (Ehrenhäftling), korzystający z pewnych przywilejów i udogodnień, do których należały m.in.: zwolnienia z obecności na apelach i karnych ćwiczeniach, lep-

sze ubranie oraz własna cела i łóżko z pościelą. Do jego celi dokwaterowano dr. Kuliga, którego Niemcy traktowali w miarę poprawnie, gdyż leczył ich oraz ich rodziny. Za swoje usługi otrzymywał dodatkowo ½ litra "wassersupki".

Dr Zygmunt opowiadał nam, że jego współlokator w celi, w początkach kwietnia 1945 r. przepowiedział dokładne daty: samobójstwa Hitlera, zdobycia Berlina przez krasnoarmiejców i kapitulacji Niemiec. Świadcami jego proroczych wypowiedzi było kilku esesmanów.

Któregoś wieczoru, przy wydawaniu pajdek chleba, stojący obok mnie Żyd wyrwał mi z ręki dopiero co otrzymaną porcję i momentalnie połknął. Zrozpaczony, odruchowo uderzyłem go w twarz – raczej nie był to cios lecz muśnięcie po policzku, gdyż już wtedy byłem na skraju głodowej śmierci i całkowicie wyzbyty z sił. Do dziś wstydzę się swojego czynu – był to pierwszy i ostatni raz, kiedym to spoliczkował bliźniego. Muszę tutaj przypomnieć, że kradzież chleba była w obozie karana śmiercią, wykonywaną najczęściej przez utopienie w szambach lub kloacznych dołach. Taki los spotkałby także złodzieja mojej porcji chleba, gdybym fakt ten zgłosił do kapo lub esesmana. Po powrocie do Leszna wypowiadałem się z mego czynu. Mądry spowiednik, będący zresztą byłem więźniem K.L. Dachau, wyjaśnił, że nie był to grzech lecz spontaniczny odruch wygłodzonego więźnia. Na wszelki wypadek udzielił mi jednak rozgrzeszenia. Mimo wszystko, często wracam w myślach do tego postępuku.

Zbliżała się zwycięska ofensywa Czerwonej Armii. Już tylko dni brakowały do terminu kapitulacji Niemiec. W obozie nasiliła się makabra. Okropny głód i choroby zbierały codziennie obfite żniwo. Więźniowie umierali masowo. Opadłem całkowicie z sił – zapasy sucharów zostały skonsumowane i obowiązująca "dieta" była jedynym pożywieniem. Czułem, że już tylko kilkanaście dni uda mi się utrzymać przy życiu, po czym nieuchronnie nastąpi jego kres.

Nad miastem Zittau przelatywały coraz częściej samoloty radzieckie. Narastała z każdym dniem armatnia kanonada. Wszystko to dowodnie wskazywało, że zbliża się koniec naszej udręki. Siłą woli staraliśmy się, pomimo

okrutnego głodu, doczekać chwili wyzwolenia. Ustaliły szykany ze strony esesmańskiej załogi obozu. Nasi dotychczasowi prześladowcy stali się potulni jak baranki. Na naszą interwencję odebrali władzę wszechwładnemu kapo – Żydowi ze Słowacji. Osobnik ten, w bezwstydnym sposób, okradał więźniów z głodowych racji chleba. Dr Kulig starał się nas podtrzymywać na duchu. Słyszałem go kiedyś, jak nucił hymn krakowskiego więzienia, zaczynającego się od słów "Montelupich krwią zbryzgane mury..."

W nocy z 8 na 9 maja 1945 r. ulotnili się z obozu esesmani. Zniknął też nienawidzony kapo. W męskiej części obozu zjawiły się Żydówki, prowadzące obozową kuchnię. Przyniosły nam jakieś resztki żywności, które pozostały w magazynie. Dotarła do obozu wiadomość, że wojska bolszewickie wkra- czają do miasta. Więźniowie, którzy mogli się jeszcze poruszać o własnych siłach, rozeszli się po okolicy w poszukiwaniu żywności i odzieży.

W obozie pozostało jeszcze około 300 beznadziejnie chorych oraz kilku ludzi dobrej woli, Polaków i Żydów, którzy nie mieli sumienia pozostawić wynędzniałych b. więźniów bez jakiegokolwiek opieki. Wśród nich znalazła się nasza trójka: dr Kulig, Władek i ja. Do obozu wróciło kilku Żydów wdzięcznych za opiekę, którzy przynieśli nam produkty żywnościowe, znalezione w opuszczonych przez Niemców domostwach.

Drugiego dnia po wkroczeniu wojsk radzieckich, udaliśmy się w trójkę do śródmieścia. Zittau było puściuteńkie, ponieważ Niemcy opuścili miasto w popłochu, obawiając się żołnierzy Czerwonej Armii. Ulicami maszerowały długie kolumny czerwonooarmistów. Co kilkadziesiąt metrów stały posterunki enkawudzystów, które strzelały bez pardonu do żołdatów, chcących obłowić się dobrami znajdującymi się w mijanych domach. Dowlekliśmy się na peryferia miasta, graniczące z terenami obozowymi. Pilnujący ładu żołnierz NKWD poinformował nas, że więźniom obozu koncentracyjnego przysługują specjalne prawa i możemy bez obawy zabierać potrzebne nam artykuły żywnościowe i odzieżowe. Weszliśmy do okazałej willi, w której mieściła się restauracja i kawiarnia. Lokal był nietknięty, pelen wszelakiego dobra. Doktor z Władkiem

zeszli do piwnicy w poszukiwaniu żywności, ja pozostałem w sali restauracyjnej. Na jednym ze stołów zauważyłem otwartą konserwę mięsną. Nie namyślając się ani chwili, zacząłem żarłocznie spożywać smakowitą zawartość puszki.

Przy tej konsumpcji zastał mnie dr. Zygmunt.

- Chłopcze, już z tego nie wyjdiesz. Zabiją cię te tłustości !

Zauważył leżące na regałach butelki z alkoholami. Wlał do szklanki po-
kążną ilość koniaku i zalecił mi wypić duszkiem to "lekarstwo". Po kilku minu-
tach byłem pijaniusieńki i momentalnie ogarnął mnie głęboki sen. Obudziłem
się po kilku godzinach. Niezawodni przyjaciele czuwali przy mnie. W piwnicz-
nych zakamarkach ukryliśmy pokażne ilości produktów żywnościowych, z my-
ślą o chorych w obozie oraz o zapasach, które miały nam umożliwić powrót
do domowych pieleszy. Do obozu zabraliśmy trochę żywności, gdyż wątłe siły
nie pozwalały nam na niesienie większych ciężarów.

Wśród węgierskich Żydówek było kilkanaście utalentowanych piosenek
i tancerek. Zorganizowały one "koncert" dla stacjonującej obok obozu, jed-
nostki wojsk radzieckich. Podnieceni widokiem urodziwych artystek żołdacy,
włargnęli na zaimprowizowaną scenę i dokonali na dziewczętach zbiorowego
gwałtu. Opowiadał nam o tym niecnym wyczynie bolszewickich zwyrodnialców
dr. Zygmunt, który opatrywał straszliwe rany zmaltretowanych Żydówek.

Za zgodą Komendanta Wojennego Zittau, Żydzi grasujący w okolicy mia-
sta, mogli posiadać broń. Likwidowali ukrywających się esesmanów oraz wy-
bijali bydło i nierogaciznę w gospodarstwach rolnych okolicznych wsi. Które-
goś dnia kilku z nich przyprowadziło grupę wystraszonych Niemców, którzy
mieli pochować zmarłych więźniów, których liczba zwiększała się z każdym
dniem.

Pod naszym nadzorem, Niemcy wykopali dwie zbiorowe mogiły. W jednej
z nich złożyliśmy zwłoki Żydów, w drugiej Aryjczyków – Polaków, Czechów,
Słowaków i Ukraińców. Byli to krańcowo wyczerpani więźniowie pozostawieni
przez Niemców w obozie Zittau, podczas marszu śmierci. Pochowaliśmy ok.

300 zmarłych. Poleciliśmy Niemcom przygotować okazały krzyż z dębowego drewna oraz dwie tablice z napisami określającymi ilości i narodowości spoczywających w mogiłach więźniów obozu śmierci. Niemcy wywiązali się z polecenia doskonale i już następnego dnia dostarczyli krzyż i tablice. Charakterystyczne, że treść napisów wypalonych na tablicach, mimo że zredagowana w języku polskim, była wypisana bezbłędnie.

Po tygodniu doszliśmy do wniosku, że dalsza opieka nad pozostałymi przy życiu, ciężko chorymi więźniami, przerasta nasze możliwości. Brak było leków, odpowiedniego wyżywienia, odzieży i przede wszystkim sił do wykonywania wyjątkowo ciężkiej pracy. Postanowiliśmy przenieść około 200 chorych do szpitala miejskiego w Zittau, gdzie aktualnie mieścił się niemiecki szpital polowy. Niemcy dostarczyli platformę z woźnicą i zaprzęgiem, i na niej przenieśliśmy partiami ciężko chorych do szpitala odległego o 3 km od obozu. Z pierwszym transportem do szpitala pojechaliśmy z dr. Kuligiem. Przyjął nas w okazałym gabinecie jego komendant, w stopniu pułkownika. Był to typowy pruski junkier, który miał nawet szramę po szabli na policzku, tak modną wśród niemieckich korporantów. W sposób kategoryczny sprzeciwił się przyjąć naszych chorych, uzasadniając swoje stanowisko następująco: jest to przepełniony do granic możliwości szpital polowy i w żadnym wypadku nie może przyjąć dodatkowo pod swoją opiekę cywilnych chorych, nie będących rannymi żołnierzami Wehrmachtu.

W spokojnym tonie wyjaśniliśmy, że działamy w porozumieniu z radzieckim komendantem wojennym miasta (co nie było prawdą) i w przypadku odmowy zmuszeni będziemy go powiadomić o powstałych trudnościach. Komendant od razu się zmienił i obiecał nam, że w ciągu kilku godzin przygotowuje sale na jednym z pięter, gdzie będziemy mogli złożyć naszych chorych. Dla załagodzenia załagru, obiecaliśmy pułkownikowi pomoc w postaci dostawy żywności.

Udaliśmy się do komendanta miasta, którego powiadomiliśmy o naszych poczynaniach. Uzyskaliśmy pełną akceptację naszych działań. Komendant

okazał się człowiekiem ludzkim. Polecił oddelegować do szpitala lekarkę i kilka pielęgniarek, które miały się opiekować żydowskimi pacjentami. Rozkazał także wydać z "trofejnych" magazynów zapasy żywności. Były to kasze, mąka, groch, fasola, cukier i konserwy mięsne.

Dopiero po przekazaniu chorych fachowemu personelowi szpitala i radzieckich opiekunów, mogliśmy przystąpić z czystym sumieniem do organizowania naszego powrotu do domu.

Niemcy dostarczyli nam wygodny wóz z parą silnych koni. Z opisanej już restauracji zabraliśmy przygotowany prowiant oraz koldry i poduszki. Ekipę wyjazdową stanowili: dr Kulig, Władek Kollątaj, ja oraz cztery Żydówki z Budapesztu, które ubłagały Zygmunta, aby zgodził się zabrać je do Krakowa.

załadowałem na nasz wehikuł solidny rower z bagażnikiem. Miał mi posłużyć za środek lokomocji od miejsca, w którym miałem pożegnać moich współtowarzyszy podróży. Musieli się oni kierować do Krakowa, ja zaś do Leszna.

Kolejna dygresja.

W latach 80-tych, po rocznym kursie i zdaniu egzaminów ze znajomości języków obcych, uzyskałem uprawnienia pilota wycieczek zagranicznych w Biurze Podróży "Orbis". Udało mi się kiedyś uzyskać kierownictwo wycieczki do byłej NRD. W programie było zwiedzanie miasta Zittau. Po przybyciu do tej miejscowości udałem się do Magistratu. Urzędujący burmistrz poinformował mnie, że niestety nie będę mógł zwiedzić terenu dawnego obozu zagłady, gdyż znajdował on się na przedmieściach Zittau – Ściniawce będącej obecnie po polskiej stronie Nysy Łużyckiej. Bardzo chciałem zapoznać się z obecnym stanem obozu i sprawdzić czy zachował się pamiątkowy krzyż i tablice, ustawione przez nas, za zbiorowych mogiłach zamęczonych więźniów.

Ściniawka leży w tzw. Worku Żytawskim, do którego dojazd jest wielce skomplikowany. Nie udało mi się niestety dotrzeć do miejsca moich najbardziej makabrycznych przeżyć obozowych.